

KONSTANTY RADOMSKI

Żydzi z Kamienia koło Rudnika. Garść wspomnień o życiu i zagładzie

Opracował, opatrzył uwagami
i do druku podał Zygmunt Zieliński

Wprowadzenie

Autor tych wspomnień urodził się w 1904 r. w Kamieniu, gdzie spędził całe życie aż do śmierci w 1989 r. Pochodził z zasiedziałej średniozamożnej rodziny chłopskiej, zaangażowanej w ruch ludowy. Nie brakowało w niej ambicji kulturalnych, o czym świadczą dwie profesury akademickie w najbliższym pokrewieństwie. Autorowi przypadła w udziale rola gospodarza na ojcowiznie, ale sięgał wyżej. W 1926 r. odbył kurs samorządowy we Lwowie, co otworzyło przed nim możliwość pracy w urzędzie gminnym na różnych stanowiskach urzędniczych. W czasie okupacji pracował tam aż do 1942 r., co wyjaśnia jego aktywność przy wystawianiu fałszywych dokumentów. Konstanty Radomski był aktywnym członkiem Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” i Stronnictwa Ludowego. Nie krył swych lewicowych poglądów, stąd zatargi z władzą sanacyjną i szczególnie niechęć do policji niekiedy utrudniającej mu życie. Orientacja polityczna i społeczna autora niewątpliwie rzutuje na jego oceny społeczności wiejskiej, zarówno polskiej, jak i żydowskiej. Tekst wspomnień, przy całej swej zadziwiającej precyzji i wielkim zasobie erudycji, cechuje wszakże spora doza subiektywizmu, zwłaszcza gdy dochodzi do potretowania postaci ludzkich. Nie umniejsza to jednak w niczym trafności opisu atmosfery wsi, zwłaszcza w czasie okupacji. Warto zwrócić uwagę na relacjonowanie postaw ludzkich, zarówno tych uczciwych czy nawet bohaterskich, jak też ułomnych i nikczemnych. Wyrażały się one w postaci zła wyrządzanego człowiekowi, obojętnie, kim on był, Żydem czy Polakiem. Ale wiele we wspomnieniach także o tych, którzy ryzykowali, jak sam autor zresztą, i bynajmniej się na tym nie dorobili.

Wspomnienia te swym realizmem przyczyniają się do podważenia niejednego mitu. Prawda, że są subiektywne, że dotyczą małego skrawka Polski, jednej wsi, może trochę także najbliższej okolicy. Ważne jest jednak, że autor nie dopatrzył się zdrady, donosicielstwa wśród żytej społeczności wsi. Nie kryje jednak służalstwa granatowej policji czy stróżów nocnych, nadgorliwych aż do udziału w zbrodni.

Wspomnienia Konstantego Radomskiego są zasadniczo owocem jego pamięci, przynajmniej publikowany tu fragment dotyczący Żydów. Należy jednak pamiętać, że miał on dostęp do materiałów gminnych, był przez pewien czas już po wojnie urzędnikiem stanu cywilnego. To wszystko budzi dla jego relacji dużo zaufania, co wcale nie umniejsza ostrożności w przyjmowaniu ocen wydarzeń i ludzi.

Przygotowując tekst do druku dokonano tylko nielicznych i mało znaczących zmian stylistycznych, zachowując pewne wyrażenia oddające folklor i koloryt czasów opisywanych. Wprawdzie punkt ciężkości tej publikacji leży w losach Żydów Kamienia w czasie zagłady ich przez Niemców, to jednak część pierwsza sięga do czasów wcześniejszych. Jest to potrzebne, bez tego opisu bowiem tamtejszy holocaust byłby zbyt anonimowy, a może wręcz niezrozumiały w swym nieludzkim okrucieństwie.

* * *

Kartki z przeszłości

Domorośli pamiętnikarz, miałem możność znać osobiście wiele starych rodzin żydowskich w mojej wsi rodzinnej, Kamieniu. Ponadto korzystałem z archiwów, by umieścić w „Monografii Kamienia”¹ wspomnienia z dziejów życia i martyrologii mieszkańców wyznania mojżeszowego, by ocalić je od zapomnienia. Dzisiejsze pokolenie nie jest świadome istoty życia tego ugrupowania ludności, obecnie bowiem Żydów w Kamieniu nie ma.

Czytając wiele wspomnień powojennych autorów stwierdziłem, że prawie nic lub bardzo mało pisze się o Żydach zamieszkałych na wsi. Chcę przeto upamiętnić tych ludzi przez spisanie spostrzeżeń własnych z przeżyć i spotkań w dawnych czasach, jak i w okresie Holocaustu (całopalenia), uzupełniając „Monografię wsi Kamień” niniejszym rozdziałem „Żydzi”.

Mieszkańców wyznania mojżeszowego zamieszkiwało w naszej wsi-gminie kilkanaście rodzin z okładem, w sumie około 250 osób. Kiedy i skąd oni napły-

¹ Autor tych wspomnień zamierzał napisać monografię Kamienia. W tym celu zebrał wiadomości głównie dotyczące swej rodziny, w tym dość bogatą ikonografię, oraz w dwóch częściach opisał swą wieś rodzinną, jej ludność i panujące stosunki. W tekście umieścił liczne pomniki etnograficzne w postaci zwyczajów, piosenek, wierszy okolicznościowych, będących w uzyciu na szczególne okazje w życiu wiejskim i rodzinnym. Odniesienia do źródeł archiwalnych brak, jednak autor jako sekretarz w urzędzie gminy miał dostęp do miejscowych materiałów, z których korzystał, zna również literaturę dotyczącą poruszanej tematyki.

nęli, trudno określić. Na pewno napływ taki nastąpił masowo w wieku XIX, kiedy to zapisy protokołów Rady Gminnej i zwierzchności gminnej wykazują żywotność tego ugrupowania. Byli wśród nich posiadacze gospodarstw rolnych, które nabywali przeważnie od Niemców, uchodzących jeszcze w czasach cesarza Franciszka Józefa z Kamienia.

Do poważniejszych gospodarzy, od 3–10-hektarowych, należeli: Natan Ost i jego siostra Rejza, Boruch Stachel, Boruch Schek, Salomon Schek, Izaak Łochman, Lejzor Schussheim, Boruch Burta, Jakub Bojnys, Majer Ohrenstein (piekarz), Aron Boroluch, Bejloch Schussheim, Dawid Friedman, Józef Heller, Izaak Blasbolk, Markus Loss, Dawid Gross, Majer Zymerman i kilkanaście ubogich rodzin, trudniących się pokątnie handlem domokrażnym, obarczonych mnóstwem dzieciarni. Żyli oni w nędzy i niedostatku, mieli też liche chałupiny lub mniej okazałe domostwa. Według mojej oceny to 2/3 ogółu głodowało, zaś 1/3 żyła w dostatku, bo poza rolnictwem trudnili się także handlem końmi i bydłem, prowadzili też różne interesy. Współzycie tej społeczności żydowskiej było raczej klasowe. Bogaci z góry patrzyli na biedotę, lekceważąc lżyli i kpili złośliwymi dowcipami. Biedota odwzajemniała się pogardą. Stosunki z Polakami w okresie XIX wieku nie były przyjazne. Z dzieciństwa pamiętam rzucanie bezkarnie kamieniami w Żyda, gdy wołano: „Żydzie – kabanie, twoja dusza na ścianie” albo „Parszywe zbójce Pana Jezusa ukrzyżowały”. Taki stan przetrwał do I wojny światowej, ale już w czasach międzywojennych stosunek ten łagodził się. Niemniej mniej uświadomiona młodzież męska, powodowana przez endeckich prowodyrów, czyniła przed 1939 r. napady, rzucając pod osłoną nocy kamienie w okna, dziurawiła dachy, czyniła niecne despekty, a przy tym niemiłosiernie okradała.

Wśród mieszkańców pochodzenia żydowskiego ponad połowa to byli ludzie idealni, uczciwi i sprawiedliwi, bardzo usłużni i wyrozumiali. Niejaki znany mi Izaak Magenheim, mądry i szlachetny talmudzysta, został obrabowany z desek przez sąsiedzkich spryciarzy. Zgłosił ogłędnie kradzież na policję, nie wskazując złodziei. Policja znalazła deski u poważnych gospodarzy, którzy z zażenowaniem deski odnieśli. Wytoczono sprawę sądową, na której poszkodowany Izaak wyjaśnił sądowi, że oskarżeni to ludzie uczciwi, że przewróciliby się na cudzej rzeczy, a nie wzięli, by nie skalać czystych rąk i sumienia. Gwarantował, że oskarżonym ktoś inny deski nocą podrzucił, i błagał sąd o umorzenie sprawy.

Podobne przypadki zdarzały się wielokrotnie i u innych Żydów, którzy w sądzie w podobny sposób oprawców swych bronili. Zapytywany Izaak, dlaczego tak bronił złodziei swego mienia, okłamując i siebie, i sąd, powiedział: „Nu, gdyby nie bronił, złodziej dostałby areszt dwóch tygodni i koszty, a dzieci, żona i bracia rozbiliby łeb kamieniem lub narobiliły innej szkody. A tak to on ma z tych ludzi przyjaciół, którzy z daleka kłaniają się mówiąc »dzień dobry panie Izaak«, a przy tym przyjadą koniem i w polu posłużą, nie żądając za dużo”.

W naszym sąsiedztwie mieszkał Broth Sane, zwany powszechnie „szlachetna dusza”. Arendował on przez kilka dziesiątków lat w karczmie hr. Ressingera. Żona jego z pierwszego małżeństwa, Ewa, to była święta, cnotliwa niewiasta;

w każdej potrzebie biegła z pomocą, najczęściej do porodów do biedniejszych polskich położnic. Każdy taki noworodek otrzymywał od niej sutą wyprawkę, a matka dostawała bułki-ciastka i słodycze, a nawet flaszkę rumu. Sane do niej mówił: „Ewo, Ewo, co ty wyprawiasz ? Masz tylu synów i córki, którym potrzebny majątek, a ty wszystko rozdajesz”. Ona na to: „Sane, daj bliźnim, a Bóg odda tobie, bo On ma więcej, jak rozdał”. Zmarłą Ewę długo opłakiwał. Ale gdy jeden z synów – Mendelson – zakochał się w przepięknej Reginie Łachman z wysokim posagiem, ojca ogarnęła zazdrość. Żyjąc w przyjaźni z jej ojcem, ułożyli sobie, że Ryfcia zostanie żoną starego, a Mendelson niech żeni się [z] kuzynką pod groźbą wydziedziczenia. Spowodowało to burzliwą awanturę, bo oblubieńcy pałali wzajemną miłosną pożądliwością. Doszło do karnej chłosty: Łachman kropił pasami Reginę, trzymając ją w zamknięciu na chlebie z wodą, a Sane bił laską syna do upustu krwi. Syn też nie borgował, oddając ojcu z dokładem. Wreszcie syn musiał opuścić dom ojca, a później się ożenił z narzuconą mu kuzynką, żeby uratować obiecany posag.

Sane pojął za żonę zgorzkniałą Reginę, nad czym płakał później do samej śmierci. Ta czarowna chabrooka szatynka, o zgrabnych nogach, czarowała wielu zaawansowanych mężczyzn, a wśród nich oficerów, rodząc coraz to wspanialsze dzieci. Nie pracowała, ubierała się ładnie, a kąpała się w winie, które się nie marnowało, bo je pijacy spożytkowali. Stary, zgrzybiały Sane Broth zubożał, mawiał publicznie, że pierwszą żonę miał od Boga, która tylko rozdawała, a on mimo to wciąż miał pieniędzy pełną szufladę. Zaś druga żona to krzyżująca gęś i sknera dana od diabła, przy której on pójdzie na żebry. Zmarł on biedak w nędzy tuż przed samą wojną, unikając katongi od hitlerowskich żołdaków, której pozostałym Żydom nie oszczędzono. Już w 1942 r. wszyscy byli wymordowani.

Opisując dzieje rodzinne najbliższego mojego sąsiada Sane Brotha, którego zwyczajnie zwano „panie Sanek”, a zaocznie „ślachetna duś”, chciałbym temu powszechnie lubianemu i szanowanemu człowiekowi poświęcić więcej uwagi. Należał on do nielicznego już grona najstarszych ludzi wsi, prawy, szlachetny i uczciwy, bardzo łagodny i życzliwie usłużny oraz ofiarny. Na każde święta Bożego Narodzenia i na święta Wielkiej Nocy posyłał od piekarza do uboższych rodzin świąteczną bułkę i macę – „biblijne pieczywo”. Natomiast sławniejszym gospodarzom gminy i częstym bywalcom jego wyszynku posyłał świąteczny „Kuba-rum”².

Podczas noworocznej kolędy i święta Trzech Króli mile witał kolędników wiejskich, którzy tradycyjnie chodzili od domu do domu „z Herodami” bądź z gwiazdą. Bardzo był rad, gdy ci młodzi parobasy kolędując śpiewali jego pięknej żonie:

Z cicha goście przystępujcie do tego domu po kolędzie,
Bo w tym domu piękna pani, a za sto złocistych sukienka na niej,
Za sto złotych, za czerwone, za parę koników, co osiodłane;
Bo w tym domu grzeczna pani, za pięćdziesiąt złotych buciki na niej,
Za te złote, za czerwone, za parę kasztanków, co stoją w bramie...

² Rum pochodzący z Kuby, średniego gatunku.

Albo też śpiewali jej siostrze Esterce:

Wiemy-ż ci my wiemy, co Esterce damy,
Chusteczkę ze złota – krakowska robota.
Lulaj-że nam lulaj do samego rana, Esterko kochana....,

i dalej nawracali, kończąc do rymu na „złocistych bucikach”. Sane szczerze ich częstował, bo były to jego szczęśliwe dni po wejściu w progi jego domu nowej gospodyni, młodej a pięknej Reginy. Dorosli synowie z pierwszego małżeństwa, Herszek, Mandziu, Leib, Majer, wyjechali za granicę. Zaś córki, piękne Gicia i Chajcia, przeniosły się do swych mężów w Krakowie i gdzieś tam zawegetowały. Obecnie są w USA, dokąd popłynął także najmłodszy syn Paul Broth, w 1945 r. żołnierz Kościuszkowskiej Brygady generała Berlinga³.

Następne lata sielanki w objęciach młodej żony Reginy nastroczały coraz to więcej zmartwień i kłopotów, toteż ten miły i łagodny człowiek, cichy jak baranek, coraz częściej powtarzał w języku polskiej mowy: „Ach bestia!”, „niech Bóg broni...”, „niech Bóg zachowa...” Bo inaczej narzekać czy też nakłąć nie był zwyczajny i do samej swej śmierci nie potrafił. W przypadkach ciężkich swarów z żoną wychodził zgorzkniały w pole, gdzie najczęściej pożalili się spotykanej tu przy pracy mojej Mamie, najbliższej jego sąsiadce. Mama, żalując go, mawiała: „Cierp ciało, co ci się chciało. Tak to, sąsiedzie, jest w tym trochę kary Bożej, bo nie trzeba było tak na siłę zabierać synowi oblubienicy. Trza było się żenić z cichą, układną młodą, ubogą wdową – to by darzyła miłością i wdzięcznością i szanowała do śmierci”.

Wielu bogatych Żydów opuściło wieś Kamień po wybuchu I wojny światowej. Już pod koniec sierpnia 1914 r. armia austro-węgierska załamała się i w pierwszych dniach września weszły do Galicji wojska rosyjskie, zajmując i nasze miejscowości po Rzeszowszczyznę. I Żydzi, i niektórzy gospodarze wieś opuścili, uchodząc za Rzeszów. Stamtąd po 3–4 tygodniach wracali za wycofującym się frontem do linii rzeki San. Wrócił i sąsiad Sanek z rodziną do zrujnowanego gospodarstwa i już więcej nie uciekał, mimo że w październiku 1914 r., znów przyszli tu Moskale. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy wsi znosił niedole i upokorzenia. Płeć pięknej „kрасiwej Jewrejki” była przedmiotem ciągłego zagrożenia cnoty, na równi zresztą z młodymi dziewczeczkami i kobietami polskimi.

Wtórna okupacja armii carskiej przeciągnęła się do czerwca 1915 r., a Moskale plądrujący na tyłach frontu bywali nieubłaganie groźni i dla mienia polskiego, i dla cnoty niewieściej. Wtedy to biedny Sanek wywiózł swą piękną żonę do ubożego szwagra do wsi Steinau. Tam w zaciszu przeżywała ona tę groźną okupację, mniej zagrożona u Izaaka Blosberga, ojca także powabnej córki. Nasz osamotniony sąsiad wychodził każdego dnia z grabiami czy z gracą w pole, gdzie obrabiał kartofle i warzywa bądź suszył siano dla swoich krów holenderskiej ra-

³ Chodzi o I Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, którą w opisywanym czasie generał Zygmunt Berling już nie dowodził, będąc od marca 1944 r. najpierw dowódcą Armii Polskiej w ZSRR i pełniąc następnie inne funkcje.

sy. I oto pewnego dnia czerwcowego, tuż przed zachodem słońca, natknął się biedak na jadącego przełajem Kozaka. Ten przystanął i pyta: „Ty Jewrej?” A wystraszony Sanek zdjął czarny pluszowy kapelusz i w pewnym ukłonie przytaknął, że jest starozakonnym. A Kozak pyta: „Dzieńgi majesz?” To ten wyciągnął pugilares i pokazuje, że jest tego niewiele. Kozak wziął do ręki, a jednocześnie zauważył łańcuszek u aksamitnej kamizelki i zegarek w kieszeni u „Jewreja”. Woła: „Dawaj czasy”. Wylękniony staruszek wyjął posłusznie zegarek i oddał. Następne pytanie dotyczyło „horyłki” i „redyski”, czy jest w domu. Sanek przytaknął, że znajdzie się w domu odrobina „sznapsu”, i wprowadził Kozaka do izby. Okazało się, że siedział już tam wcześniej przybyły, częsty gość „na jednego”, więc Moskał miał towarzystwo i spytał, czy Jewrej ma „chodziajkę”. Ten zapijaczony gość potwierdził, że tak, że ma ładną i młodą. Biedny Sane aż skamieniał z obawy, by ten nie wydał kryjówki. I oto z tej opresji wybawiła go moja Mama, która właśnie weszła do izby, by sąsiadowi wydoić krowę. Zmierzyła surowym wzrokiem obu pijących, a znanego sobie sąsiada wyłajała za wysiadywanie w knajpie, kazała ruszać do żony i dzieci. Kozak także spotulniał, stanął i grzecznie zapytał o drogę do Rudnika. Sane wytłumaczył mu, by jechał prosto drogą do wsi Jeżowe, skąd droga powiedzie do Rudnika. A tymczasem zapijaczony sąsiad informuje Kozaka, że prościej mu będzie jechać przez pobliską wieś Steinau. Tu biedny Sane aż skamieniał, bo tam właśnie miał w przechowaniu żonę. Na szczęście mroki nocy poniosły Kozaka traktem szerokiej drogi ku Jeżowemu.

Ale niepokoje i kłopoty nie skończyły się. W święto Zielonych Świątek stęskniona za domem, ukrywana w komorze, wyszła Regina w godzinach przedpołudniowych i ścieżką wśród żyta ruszyła ku domowi. Kiedy już była blisko przejścia przez gościniec, natknęła się na konny patrol 6 mołojców ze starszą, który zawołał „Jewrejka”. Dawaj z koni, powalili ją, przeraźliwie krzyczącą ze zgrozy. Zobaczyła to ze swego obejścia moja Mama i z widłami w ręku, w groźnej postawie biegła zamaszystym krokiem, zwołując kobiety idące do kościoła, i tak wypłoszyła mołojców. A zemdląca ze strachu czy z naruszenia sąsiadkę przyprowadziła do swego domu, gdzie się nią zaopiekowała. Oboje małżonkowie byli wdzięczni Matce za tak odważne ocalenie kobiety.

Gdy znów front ustalił się na dłużej na linii Sanu, w Kamieniu na plebanii umieściło się „Korps Kommando”, a sztabowcy zajęli na kwaterę dla majora i podwładnych oficerów wielopokojowy dom Sanka. Gospodarza usunięto do ubocznej kuchni letniej przy budynku obory, zaś jego piękną żonę i jej siostrę Esterę zostawiono w jednym pokoju. Oficerowie wozili tę pierwszą albo obie autem do Rzeszowa na nocne bale, ubierając je na każdy dzień w inne kosztowne suknie, zaopatrywali też w wyborowe ciasta i inne artykuły. A biedny Sanek płakał i z rozpaczy wyrывał sobie brodę, wyrzekając, że lepiej by się stało, gdyby mołojcy tę wiarołomną żonę o śmierć przyprawili. Po 5 tygodniach front przesunął się dalej na wschód, aż na ziemi Wołynia i wojsko opuściło wieś. A u sąsiada następowały coraz to ostrzejsze swary i zgrzyty małżeńskie. Ale mimo to szynkarka, zawsze piękna i powabna, rodziła piękne i zdrowe dzieci. Za to interes

szynkarski chylił się ku upadkowi, a biedny szynkarz mocno zadłużył posiadane gospodarstwo i likwidował interesy na rzecz dzierżawców. Czysze i przychody z gospodarstwa nie zaspokajały potrzeb licznej rodziny. Zmarł Sane w biedzie w 1938 r., ubogo grzebany na cmentarzu w Rudniku nad Sanem. A mieszkańcy wsi długo żalowali tego szlachetnego Izraelity.

Na zakończenie opowieści o jego życiu chcę jeszcze opisać zdarzenia następujące. Każdego lata zjeżdżały do niego z Krakowa córki z dziećmiakami – Gicia i Chajcia, by w domu ojca przygotować zapasy na zimę. Skupowały one u gospodyń masło majowe i przetapiały je do wielolitrowych naczyń emaliowanych, trzymając je w piwnicznej lodowni. Skupowały też czarne jagody, wiśnie i maliny, przerabiając na soki i dżemy. O tych zapasach w lodowni piwnicznej wiedzieli sąsiedzi z jednej i drugiej strony, których synowie uknuli zamiar rabunku. Było to nocą 1922 r., gdy włamali się i ukradli 40 kg topionego masła. Jeden z rabusiów w niedzielny dzień letni zaprzągnął swe konie i pojechał spieniężyć towar do pobliskiego Sokołowa. Ale tamtejsi Żydzi coś wywęszyli i nie kwapili się z kupnem. Chłopak natknął się na policję, która po zasięgnięciu telefonicznej informacji w Kamieniu przymknęła chłopaka. Sprawa włamania i kradzieży od razu nabrała rozgłosu. Biedny Sane tak się przejął dołą tych sąsiedzkich oprawców, że dla uwolnienia ich nie żałował ani koni, ani czasu. Jeździł do naczelnika Sądu Okręgowego w Rzeszowie, a gdy to niewiele skutkowało, opłacił najlepszego adwokata, który wybronił chłopaków od kilkumiesięcznego więzienia, zamienionego na 14-dniowy areszt. Tego aresztu też nie odsiedzieli w całości, bo Sane wykupił ich rzekomo do pracy na swoim gospodarstwie. Był to więc prawdziwie święty człowiek! Mieszkańcy naszej wsi do dzisiaj uważają, że Pan Bóg, dla ochrony przed hitlerowskimi siepaczkami, przygarnął tego bogobojnego starca do siebie. Myślę, że jego potomni: synowie Majer, Hersin i Paul oraz córki Gicia i Chajcia, z dziećmi żyją gdzieś w Ameryce – Nowym Jorku. Miewałem stamtąd od Gici listy w 1945 i 1946 r., na które jej odpisywałem.

Oto historia innego Żyda, Izaaka Magenheima, żołnierza I wojny światowej w latach 1914–1920 [chyba: 1918]. Ożenił się on w 1921 r. ze znaną mi Elen, córką bogatego Stehla Barucha. Dziedziczyła ona dobrze zagospodarowane gospodarstwo rolne z hodowlą krów. Elen każdego roku rodziła dzieci, była silna, zdrowa i pracowita, a częste porody odradzały i odmładzały w niej urodziwą Izraelitkę. Małżonek jej Izaak, powszechnie zwany „Szalony Icek”, był talmudystą, każdego ranka odprawiał modły i choćby pioruny strzelały, był on podczas modlitwy niewzruszony.

Jako mieszkaniec wsi był on lubiany i szanowany, choćby i dlatego, że znał się na prawie i lubiał każdemu poradzić w każdej zawilej sprawie i kłopotach, a nawet i zwaśnionych pogodzić. Oglądałem z ciekawością jego ślub, w wieczornej porze, na tzw. śmieciach około studni⁴ panny młodej. A że był żyty z rodakami z naszej

⁴ Śluby żydowskie odbywały się przeważnie w domu lub w obejściu pod specjalnie na ten cel ustawionym baldachimem. W opisanym przypadku działo się to w podwórzcu, stąd zapewne gwarowe określenie „na śmieciach”.

wsia na wojnie, to w czasie swego wesela hojnie częstował zabraną gawieź wódką i winem. Zaś piwo w beczce stało do dowolnej dyspozycji biesiadników z całej niemal wsi, bo głos wspaniałej orkiestry „Krasoniów” z Łowiska zapraszał na tę okazję, gdzie tańczono pod gołym niebem w rytmie skocznej melodii. Śpiewano:

Poszli Żydki na wojnę – aj waj, aj, tompum, pompum,
 Chociaż czas był spokojny – aj waj, aj waj, rompum, rompum pompum,
 Nie robiły hałasu i uciekły do lasu – aj waj, aj waj, rompum, pompum,
 Pompum siułeś, mułeś, atakom – aj waj, waj waj, ropum, pompum,
 Icek z Elenko...

W późną już noc majową tańczono, śpiewając polskie poleczki, walczyki i oberki, bo poczęstunek alkoholem rozgrzewał nie tylko w czubie, ale i w trzewiach, toteż zabawiano się ochoczo.

Wesele żydowskie zapamiętałem także u niedalekiego sąsiada, starego „dziadka” Herszka, w 1923 r. Miał on wnuczkę, którą powszechnie uważano za świętobliwą, nienaruszoną pannę. Dziadek Herszek mieszkał w ubogiej, sklepcznej chałupinie, krytej gontem, o jednej izbie z sienią i komórką. Utrzymywał się jedynie z zaopatrywania ludzi we wsi w zapalki (= siarniczki) biorąc klocek soli i po odrobinie cukru kostkowego za jajka, które odstawał do Bejnysia w Sokołowie. W tym ubogim fachu przeżył tu kilkadziesiąt lat w posłudze dla społeczności wiejskiej, będąc usłużnie życzliwym, cichym i spokojnym. Zaś żona jego – Herskowa, też usłużnie zaopatrywała chore dzieci w cukierki i suszone owoce, podobno i kobietom w połogu przynosiła rum na rozgrzewkę. Tym sposobem oboje cieszyli się uznaniem mieszkańców Kamienia, a że byli biedni, to nie ruszyli się z miejsca, gdy w 1914 r. carscy Moskale zajmowali naszą wieś. Tak się złożyło, że w czasie 10-dniowego pobytu w naszej wsi dywizji kawalerii Kozaków żołdacy w pogoni za młodymi „krasawicami” włamali się nocą do staruszków i zgwałcili tę czystą dziewicę. Biedny, załamany starzec płakał przejęty bólem i mówił głośno: „Palec Boży dotknął go nieszczęściem, bo tę tak czystą, świętą dziewicę żołnierstwo naruszali”.

Biedna Ruchla długo żyła w ponurym załamaniu naruszonej cnoty swej czystości dziewiczej, bo mimo nieprzeciętnej urody długo nie było partnera do żeniactwa. Dopiero po wojnie zjawił się ich kuzyn z Raniżowa, Leib Sonenblick, powodowany przez ich wspólną ciotkę w USA; obiecała mu ona za poślubienie skażonej Ruchli suty datek na drogę życia po ślubie. Więc w 1923 r. miałem okazję oglądać na żywo ceremoniał rytualnego wesela. Pocziwy dziadek Herszek wyprawił niespodziewanie sute wesele swej wnuczce, na które zapraszał wszystkich mieszkańców, których przez całe życie zaopatrywał w potrzeby codziennego użytku w zamian za jajka. Każdego nie gardzącego zaproszeniem witał ze łzami radości, racząc smakołykami, jakich nikt się nie spodziewał po tym biednym staruszkowi. A uszczęśliwiona Ruchla odmłodziła z radości.

Ruchla rodziła każdego roku dzieciska, aż ich było dziesiątek. Jednak z głodu, zimna i niedostatku zapadła na nieuleczalną gruźlicę i zmarła tuż przed wybuchem II wojny światowej w ogromnej biedzie, patrząc na bezlitościwy los wy-

nędzniałych dzieci. Biedny, niezaradny Leib, zwany przez Żydów „Chamski łeb”, dwoił się i troił dla zdobycia żywności dla swej zagruźliczonej dziatwy. Dzieci, nim je śmierć pochłonęła, wynajmowały się ochoczo do usług i pasienia bydła u gospodarzy za liche odżywienie. W latach 1942–1943 hitlerowska hydra dopełniła tej strasznej nędzy ubogiej ludności żydowskiej.

Podobnych przykładów biedy i poniżenia, a jednocześnie życzliwości ze strony Izraelitów można opisać by wiele. Ale była także nienawiść do „gojów” za doznawane niekiedy krzywdy.

Był wśród rodzin żydowskich pokątny handlarz cieląt, Erlich Kiwa (Kiwuś). Skupywał on też i masło od kobiet, które ponownie przerabiał w zwykłej masielnicze na słodkim mleku. Tak odświeżone eksportował w daleki świat. Tenże Erlich poza parterową chałupą krytą dachówką miał też pełną izbę dzieciaków, które trzeba było karmić, ubierać i obuwać na zimę. Jakimś cudem wszystkie dzieciaki przetrwały do wybuchu II wojny, kiedy to rodzina ta podzieliła losy wszystkich Żydów w 1942 r. Tylko jeden chłopiec, z najstarszych, przedostał się na wschód i wrócił z frontu przyczółka na Pradze, w randze podporucznika, 10 IX 1944 r., kiedy o Żydach w Kamieniu już zapomniano. Nikogo z rodziny nie znalazł, sprzedał ocalałą chałupę i wyjechał do Ameryki.

Wspomnę o jeszcze jednej ubogiej rodzinie, zwanej Mechle „Banieczki”, posiadającej ubogą chałupę tuż nad przydrożnym rowem, krytą strzechą ze słomy. On naprawiał stare buty, ona dostarczała sól, naftę, zapałki i cukier do potrzebujących za jajka. Mieli troje dzieci: najstarszy był syn Leib w moim wieku, młodszy syn Mortka i jedyna córeczka Perła, którą zwaliśmy „Perci”. Była ona ciemnobra, czarnooka, z czerwoną jak wiśnia buzią, o zgrabnej sylwetce i soczystych koralowych usteczkach. Bardzo dobrze uczyła się w szkole, a otoczenie szkolne traktowało ją po koleżeńsku. Zagłębiała się ona od lat szkolnych w literaturze pięknej, będąc oczkiem w głowie rodziców. Poganiani do pracy bracia nie byli jej radzi. Ponieważ Perci uczęszczała do czytelnicy i władała wykształconym językiem polskim, to zafawne koła młodzieży żydowskiej nie bardzo jej sprzyjały. Z tych względów coraz bardziej garnęła się w stronę kulturalniejszych odłamów młodzieży polskiej i spoufalała się z niektórymi szlachetniejszymi chłopcami we wsi.

W czasie okupacji pragnąłem uratować ją przed zagładą. Wyrobiłem jej kennkartę, zaopatrzyłem w „passirszajn” i wysłałem pod Lublin do mojego brata Stacha, który pozostawał już w konspiracyjnym Ruchu Oporu. Lecz skutek obławy na transport Perci nie dotarła na miejsce. Błąkając się od wsi do wsi wróciła pod osłoną nocy. Zrezygnowana i dręczona tęsknotą za rodziną, wywiezioną do getta w Sokołowie, zwróciła mi posiadane dokumenty i podażyła za rodzicami, by ginąć razem. I odtąd ślad po ładnej Perci zaginął.

Jedynie drugi syn Mechlów – Mortka parobkował u jakiejś wdowy i tam oczekiwał wyzwolenia. Piszę o tym, gdyż wiele pięknych kobiet mogło się uratować, lecz więzy rodzinne kazały im ginąć razem.

Przypomniał mi się na koniec jeszcze jeden, bardzo uczony w Talmudzie Żyd, Salomon Stang, zięć dziecięcej rodziny Łachmanów. Nie pracował fizycz-

nie, mieszkał na komornym w moim sąsiedztwie, a mając sporą gromadkę dzieci był na bardzo jałowej stopie. Uczył prywatnie dzieci i młodzież żydowską języka hebrajskiego i całej historii pokoleń żydowskich. Z tego utrzymywał rodzinę. Był on usłużny i lubiany, a ówczesny Bürgermeister Schneikhart też go chronił i zaopatrywał jego konieczne potrzeby.

Temu biednemu nauczycielowi udało się upchnąć starszych synów do państwa Izrael tuż przed II wojną światową⁵. W początkach 1941 r., zaopatrzony częściowo w lewe dokumenty, sam on z resztą swojej rodziny wyjechał do Lwowa, skąd zamierzał przenieść się do Izraela. Jakie go spotkały dalsze losy, nikomu nie wiadomo.

Poza cudownie piękną i kulturalną Perci było w moim sąsiedztwie więcej podobnych wspaniałych i kulturalnych dziewcząt, jak córki Sane Brotha – Frieda i Hawa, także Lipka Chrensteina, Mania u Friedmana i Hania u Majera oraz Friedka u Salomona Scheka. Lubowały się one w czytelnictwie literatury pięknej i mówiły czystym polskim wykształconym językiem.

Z wykształconych, szlachejnych chłopców (nie gardzących kiełbasą czy inną wędliną) znałem dwóch: Joel Schek i Joel Schussheim; obaj zostali zamordowani w 1943 r.

Jeden z rodaków, Jakub Borsztejn, z zawodu szewc, był w stowarzyszeniu „Sokoła”. Wyjechał on przed wojną do Ameryki z rodziną i tam był wielkim działaczem. Nic to dziwnego, bo i tutaj należał do patriotycznego ruchu postępowego.

Uratował się też syn Natana Osta, Abraham, który żyje gdzieś w Polsce. Był też jeszcze jeden inteligentny młody syn Łachmana. Wołano na niego „Cmielik”. W nieznanych mi okolicznościach miał się powiesić; zwłoki znaleziono w 1941 r. w domu jego żony.

O zagładzie Żydów

Na wiele miesięcy przed agresją Hitlera na Polskę rozpetała się propaganda antyżydowska z hasłem: „Bij Żyda”. Inni obywatele wsi mówili: „nie bij Żyda, nie idź do Żyda – nie będzie ci bida”. A pozostali mieszkańcy kiwali głowami bez akceptacji tych i podobnych haseł. Kiedy już gorączka wojenna zawisła jak miecz Damoklesa nad Polską, nagonka antyżydowska ustała, bo obawy i paniczny strach napały ludzi troską o zagrożone losy jutra; w jaką dolę zawierucha wojny zbrodniczej zapędzi lud Boży? Toteż i nocne ekscesy przeciwko Żydom, pomawianym o poglądy lewicowe, ustały, a zwaśnieni rychło zapomnieli o wzajemnych urazach.

Z chwilą wybuchu wojny młodzież żydowska, przeważnie męska, kierowała się wraz z uchodzącymi Polakami – jak kto mógł – furmanką, rowerem i pieszo, a często koleją, na tereny wschodnie w okolice Lublina, Zamościa i Lwowa. W takim uchodźstwie zginął w pociągu, rozszarpany bombą, lubiany przeze mnie sąsiad Manes Broth, mający 18 lat. Ze swym młodszym bratem Pancelem pragnę-

⁵ Powinno być: do Palestyny, państwo Izrael powstało bowiem w 1948 r.

li, jak wielu kolegów, dostać się do Izraela. Już po kilku tygodniach wręczono mi zaplamiony krwią dowód osobisty Manesa, rozszarpanego bombą na torach koło Horyńca za Jarosławiem. Aby nie sprawiać cięższego bólu utrapionej matce, Reginie Broth, sprawę tej tragedii zachowałem dla siebie i dopiero w czasie wywozu przymusowego Żydów z Kamienia w 1942 r. do getta w Sokołowie oznajmiłem jej tę bolesną nowinę, oddając jej dowód z fotografią syna. Sąsiadka ta, po wyrzuceniu jej z domu, zagościła po cichu w mieszkaniu przy mojej rodzinie. Przychodzili doń wieczorami inni sąsiedzi, starzy przyjaciele, jak: Dawid Friedman, Boruch Schek, Boruch Burta, Dawid i Szaja Amsterdam oraz Majer Zymerman. Rozważali oni swoją beznadziejną dolę z wyczytaną przepowiednią ze „Świętej Księgi Talmudu”, że gdy sroga zima wymrozi przepiórki i inne pożyteczne ptaki, jak kuropatwy, to znak, że w danym kraju nastąpi zagłada Żydów. A ostatniej srogiej zimy ptactwo wyginęło, więc ci seniorzy wierzyli w rychłą zagładę synów Izraela. Biadowali nad przepowiednią kłęski i bardzo się modlili.

Przez kilka nocy musiałem odwozić własnym koniem tych zżytych sąsiadów do getta w oddalonym o 10 km Sokołowie, gdzie – dokąd to było możliwe – odwiedzałem tych rozmodlonych skazańców.

Syn Borucha Scheka – Joel, wnuk Salomona, próbował się ratować. Był to wspaniały blondyn, wysokiego wzrostu. Posługiwał się lewym dowodem osobistym z „passirszejnem” na Juliana Stypę. Stale podróżował za interesami, handlując. Na przełomie 1941/42 r. został zdemaskowany w pociągu z Krakowa przez zamieszkałego tu J. Bortkiewicza, wysiedlonego w 1939 r. z Poznania. Tenże po powrocie zgłosił policji granatowej fakt posiadania lewego dokumentu, z czym miałem niemało kłopotu. Tylko dzięki zaprzyjaźnionemu Jerzemu Schneikarthowi, pełniącemu funkcję Bürgermeistra w gminie, wykaraskałem się z tej groźnej opresji. Ale zdemaskowany Joel podzielił już w 1942 r. losy mieszkańców getta w Sokołowie, skąd usiłował ucieczkę i został postrzelony. W czasie, gdy mieszkańcy getta mieli go grzebać na cmentarzu w Sokołowie, Joel już w dole ożył, a że dozorujące straże odeszły, zaniecono go w mrokach wieczoru do lekarza nazwiskiem Klein i ten go uleczył. Jednak nie na długo darowano mu życie, gdyż po kilku tygodniach przy jakiejś kontroli mieszkań w Sokołowie znów wpadł w ręce oprawców ze straży w getcie. Tym razem zaprowadzono go na ten sam cmentarz i strzałem z pistoletu pozbawiono życia.

Wielu młodych Żydów uciekło z getta. Byli wśród nich: Izaak Rosengarten z Łowiska z piękną młodą żoną i córeczką, Rojza Friedman i jej bracia Josef i Markus, bracia Oskar i Joel Schek, syn Salomona, Mortka, Orsten, Mechel, Joel Burta i syn Lejzora Schussheima, oraz Chawa Broth z Kamienia. Dzięki „nieuwadze” przyjaznego mi Bürgermeistra Schneikartha zaopatrywałem ich w lewe dowody. Mieli oni kryjówkę u gospodarza Franciszka Bolko w Łowisku, gdzie czuli się bezpiecznie. Niektórzy z nich nawet handlowali, czym się dało, na innych wsiach. Jednakże po przeniesieniu Jerzego Schneikartha do innej gminy zaczęły się prześladowania i wyspy, a kryjówka w Łowisku znalazła się w zagrożeniu. Więc część ściganych Żydów, jak Rosengartowie, bracia Friedman i Sche-

kowie, przenieśli się na strych mojej obory, gdzie w jakiś cudowny sposób przetrwali do wyzwolenia.

Córeczkę Rosengartena udało się umieścić u starej gospodyni Salomei Chamot w Krzywej Wsi jako zagubioną sierotę, polskie dziecko. Ta staruszka przyjęła ją za własne dziecko, zapisała do szkoły i na naukę katechizmu w kościele. Do wyzwolenia dziecko chowało się w troskliwej opiece, pasając krowy i wykonując inne posługi.

Dzieweczki Rojza Friedman i Chawa Broth, cechujące się polską urodą i czystością języka polskiego, poruszały się dowolnie po Lubelszczyźnie i Zamojszczyźnie. Chawa oczarowała kapitana gestapo i długo jeździła z nim autem po terenie Rzeszowszczyzny, zaglądając często do mojego mieszkania z darami słodyczy dla dzieci. Ja przygotowywałem dlań smaczną kielbasę, za co ów oficer płacił. Zaś Rojza Friedman gdzieś w czasie wyzwolenia zaginęła bezpowrotnie na Lubelszczyźnie.

Przechowywani Żydzi uratowali się nie tylko u mnie, ale i w kryjówce Bolki w Łowisku. Pomoc, przetrzymywanie i zabezpieczanie tej grupy ściganych były ogromnym zagrożeniem dla całej rodziny, a także i sąsiadów, bo wiedząc o kryjówce, ponosili wszyscy odpowiedzialność śmierci i spalenia gospodarstwa. Z powodu tego zagrożenia narastała niechęć i nawet nienawiść do mojej osoby, lecz mimo pomruków nikt nie odważył się zdemaskować kryjówki.

W domu mojej żony mieszkali wysiedleni ze spalonej wsi Podlesie Kielbowie. Byli oni tak przerażeni, że całe dni spędzali daleko od domu i tylko przychodzili spać, zaś latem często sypiali w polu.

Wczesną wiosną 1944 r. udało mi się przy pomocy zaufanego AK-owca, Jana Sałaty, zdobyć w urzędzie gminy urzędowy „passirszajn” dla niektórych Żydów ze strychu z prawem wyjazdu w okolice Kraśnika za Sanem do pracy. Tam na Lubelszczyźnie gospodarzył mój brat Stanisław, wśród lasów. Zaopatrzeni w dokumenty i chleb, wyruszyli całą grupą z wieczora na noc w oznaczone miejsce strzeżonego Sanu, gdzie umówiony przewodnik miał ich przewieźć na drugi brzeg. Ja zaś wybrałem się koleją do brata, by zorganizować dla nich pomieszczenie. Nie dojechałem tam jednak, bo w okolicy Kraśnika-Wilkołaza dywersanci uszkodzili tory kolejowe i kurs pociągu został wstrzymany. Musiałem już z Janowa wracać. I, o dziwo! W drugą noc słychać pukanie w okno: „Panie Radomski! Panie Radomski!” Zamarłem z przerażenia, bo znajome mi głosy Friedmana i żony Rosengartena oznajmiły mi, że wyprawa nie udała się. Wrócili głodni, zziębnięci i wystraszeni. Opowiedzieli o pogoni przez Wehrmacht z leśnictwa pod Rudnikiem nad Sanem, z grupą robotników leśnych. Uciekli na „Załuze” – podmokłe lasy pomiędzy Niskiem i Rudnikiem, skąd wrócili do mnie. I tak trwało nadal życie tych ludzi i żyć w trwodze, z duszą na ramieniu, bo na wtórne wyprawy nie mieli już odwagi. W takiej to atmosferze zgrozy i strachu doczekali wyzwolenia w dniu 10 lipca 1944 r.⁶

⁶ Autor tu pomylił się, zapominając widocznie, że we wspomnieniach swych podaje jako datę wyzwolenia 26 lipca 1944 r., co odpowiada prawdzie.

Uratowani po wyzwoleniu rozjechali się: Rosengarten wrócił z żoną i córką do swego domu w Łowisku i tam zaczął handel domokrażny starym zwyczajem, także z Sowietami. Niedługo cieszył się tą swobodą i wolnością, bo w kilka tygodni zginął na polach między Łowiskiem a Wolą Zarczycką zastrzelony przez żołdatów i obrabowany ze swej skromnej gotówki. Jego piękną wciąż jeszcze żoną zaopiekował się Oskar Schek i niebawem wyjechali z uratowaną córką do USA. Za nimi podążył brat Joel, a w kilka miesięcy później bracia Friedman Józef i Markus znaleźli się też za granicą w Kanadzie. Stamtąd jedni i drudzy napisali, jak im się tam powodzi, załączając, jak na urągowisko, jednego dolara. Wyrazili też przekonanie, z zazdrością czy kpina, że chyba mam się znakomicie na świetnym stanowisku urzędnika miejscowej gminy. Odpisałem Schekowi, że babcia, która tak z sercem przygarnęła małą córeczkę ocalając jej życie, jest chora i w osamotnieniu, więc należałoby ją czymś wesprzeć. List ten jednak pozostał bez odpowiedzi, a babcia w nędzy i osamotnieniu umarła.

Schekowie napisali do mnie jeszcze w sprawie zaświadczenia z Urzędu Gminy, że ich bł. p. ojciec Salomon posiadał fabrykę wyrobu dachówek i kręgów betonowych, która została zniszczona przez okupanta. Zaświadczenie wysłano, a wynagrodzenie – ten załączony dolar – poszedł na opłatę skarbową.

We wrześniu 1944 r. młodzi sąsiedzi – Paul Broth i ppor. syn Erlicha Kiwy, będąc z Armią Kościuszkowską na zdobytym przyczółku Warszawa Praga, przyjechali na przepustkę z frontu, lecz nikogo z rodziny nie zastali. Sprzedali za byle co pozostałość majątku i wyjechali przez Niemcy do USA. Bardzo mi jest dziwne, że ten serdeczny najbliższy mój sąsiad, Paul Broth, nigdy nie napisał do swoich „lubianych sąsiadów”, tak jakby się czegoś obawiał. Czyżby dlatego, że służył w Armii Kościuszkowskiej?

Przez całe swoje życie służyłem każdemu potrzebującemu bezinteresownie, bo łatwizna życia – to nie w moim stylu. Żadna z opisanych wyżej osób nie poniosła najmniejszych kosztów za doznane przysługi. Natomiast ja – osobiście – niejednokrotnie spotykałem się z zarzutami od różnych osób, że wspomagam Żydów bądź dywersantów. Zwłaszcza po wyzwoleniu miano mi za złe, że wszyscy moi podopieczni Żydzi, „miast podjąć się pracy nad utrwalaniem władzy ludowej w Polsce i w odbudowie Ojczyzny, zbiegli do krajów kapitalistycznych, zdradzając tym PRL, bo ja nie umiałem ich wychować...”.

Opisałem przypadki, gdy niektórym Żydom udało się znaleźć pomoc i ratunek w koszmarnym okresie prześladowań i całkowitego wyniszczenia przez hitlerowców tej grupy ludności. Większość ogromna straciła życie w warunkach najokrutniejszej przemocy.

W pierwszym okresie okupacji na przełomie lat 1939–1942 ludność żydowska była wielokrotnie nękana ustawicznymi kontrybucjami. Sądząc z naocznej obserwacji, nie obywało się tu bez udziału w zyskach i miejscowej policji granatowej, która podkreślała swoją służalczą ważność w egzekwowaniu tych okupów. Gotówka i przedmioty wartościowe nie były ściśle ewidencjonowane po każdej zarządzanej akcji ani nie kwitowane przy przekazywaniu owym panom zandar-

mom. Zwracał na to uwagę ów Bürgermeister Schneikarth, zgorszony tym samowładztwem policji, i w końcu te egzekucje ustały. Nowa akcja policji, przy asyście pijanych żandarmów, rozszalała się w 1942 r., gdy już Schneikartha w Kamieniu nie było. Zabierano, z braku innych przedmiotów, inwentarz żywy i wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. W końcu odarto ze wszystkiego ludność żydowską i wysiedlono brutalnie do getta w Sokołowie, z przykazem opuszczenia w ciągu 48-godzinnego czasu mieszkania tylko z ręcznym tobołkiem. Po tym terminie znalezienie Żyda poza gettem kończyło się rozstrzelaniem na miejscu. Dla ludności polskiej było wielkim ryzykiem przetrzymywanie u siebie Żyda choćby przez kilka dni, jednak trafiały się przypadki przytulenia Żydów, zwłaszcza kobiet, w mieszkaniach rodzin sąsiedzkich, skąd pod osłoną nocy pomagano tym nieszczęśnikom dostać się do getta, przewożąc ich końmi. Z getta w Sokołowie wywożono Żydów grupami do miejsc zatrącenia.

Wielu ukrywających się Żydów zginęło wskutek donosów. W 1943 r. w mroźną noc zimową wataha warty nocnej z Łętowni przypędziła do urzędu gminnego w Kamieniu znaną i szanowaną rodzinę żydowską, ukrywającą się z małymi dziećmi. Ówczesny wójt zamknął ich w nieopalanym areszcie gminnym, zawiadamiając niezwłocznie policję granatową, a ta z kolei – żandarmierię w Nisku. Na drugi dzień wieczorem przybył z Niska wachmistrz Nowak i od razu, na oczach wójta i policji, po wyprowadzeniu tych zamrożonych i zgłodniałych skazańców strzelił z pistoletu do matki trzymającej na ręku dziecko. Padając z okrzykiem „Mój Boże”, matka wypuściła płaczące dziecko, które ten straszny zbój pozbawił życia następnym wystrzałem. Potem, już z karabinu, zastrzelili ojca z synem. Tych zamordowanych pogrzebał niejaki Józef Wyka tuż za rzeźnią gminną.

Ta sama wataha z Łętowni przywiozła w kilka dni później piękną młodą Żydówkę z dwojgiem dzieci, po czym policja granatowa wywiozła ją do żandarmierii w Nisku.

Za te haniebne czyny członkowie watahy odsiedzieli po wojnie wyroki po kilka lat więzienia w Rzeszowie. Ale wójt i policja granatowa uszli bezkarnie, choć przecież mogli bez większych konsekwencji pomóc tym prześladowanym Żydom, ogrzać ich, nakarmić, a nawet upozorować ucieczkę z prymitywnego aresztu w gminie, bodaj matce z dzieckiem. Nikt im tego jednak nie zarzucił. A mogli to zrobić choćby ci moi uratowani Żydzi znad obory; mogli przecież wszcząć dochodzenie przez urzędującego tu w Kamieniu komendanta wojennego, miast uciekać za granicę.

Inny przypadek podobnej egzekucji miał wstrząsające miejsce w dzień Zielonych Świątek 1943 r. Zaalarmowano policję granatową, że jakoby w stodole Wicka Rodzenia przebywają Żydzi. Policja telefonem zawiadomiła Nisko i Luftwaffe w Górnej, skąd ruszyła gestapowska obława. Z powodu spóźnionego ostrzeżenia nie wszystkim udało się zbiec. Wycieńczony piekarz z Sokołowa został schwyty na płocie. Mój Schek i inni zbiegli w opłotki sąsiednich zagród i pod osłoną dobrych sąsiadów schowali się i ocaleli. Złapanego Żyda zastrzelono w samo południe przed rzeźnią, gdzie ten sam Józef Wyka go pogrzebał.

Wydawało się nam bardzo dziwne, że tak dobrze zorganizowana konspiracja podziemna z powiatowym komendantem Batalionów Chłopskich nie zainteresowała się unieszkodliwieniem kapusiów i donosicieli, którym te zdradzieckie, zbrodnicze czyny uchodziły bezkarnie. A przecież podobnych wypadków było znacznie więcej i ginęli nie tylko Żydzi, ale i Polacy. Z takiego donosicielstwa gestapo zamordowało Stanisława i Pawła Watrasów, Bonifacego Saja i Wojciecha Bednarza, Józefa Partykę i Franciszka Bolkę. Zastrzelono też kulawego Żyda Zejlika, a wielu innych wywieziono na zatracenie do obozów.

Dziwnym się wydaje, że po wyzwoleniu władze nie wszczęły dochodzeń.

O interesujących ludziach i rodzinach żydowskich

SALOMON SCHEK. Sędziwy starzec, którego już od moich lat dziecięcych zapamiętałem, uznany był przez miejscowe społeczeństwo na wsi jako „Patriarcha Stary”. Pochodził on pewno z zamożniejszej rodziny, skupywał bowiem wiele kawałków ziemi i placów budowlanych, gdzie się dało. Wreszcie w końcu XIX w. kupił od Niemca Hausnera gospodarstwo rolne około 30-morgowe, w pełni zagospodarowane i z okazałym domem. Z pierwszego małżeństwa miał on wielu synów starszych ode mnie i kilka córek: Baruch, Jakub, Oskar, Hania, Mariem... zaś z drugiej żony młodsze dzieci, podpisujące się mianem nie Schek, lecz Schusheim, widocznie nazwiskiem matki.

Prowadził świetną gospodarkę i był bardzo pracowity. Wraz z całą dzieciarnią, która jeszcze pozostawała w domu, przebywał całymi dniami w pracy w polu przy zbiorze i obróbce ziemiopłodów. Miewał on obszerną hodowlę bydła i drobiu, obsługiwana przez własne potomstwo, które wychowywał w twardej dyscyplinie rytualnej obyczajowości. Toteż w czasie jego świetności gospodarczej nikt u niego nie zarabiał, gdyż był samowystarczalny i wszystkie prace na polu i w gospodarstwie wykonywał z gronem swojej rodziny.

Spółeczność jego współwyznawców na wsi czciła go i darzyła wysokim szacunkiem, uznając w nim duchowego podrabina. Przy Świątach Wielkanocnych i jesiennych świętach Nowego Roku (kuczki) obejmował on przewodniczenie we wspólnych modłach. Będąc wysokiego wzrostu i wspaniałej kondycji dobrze zbudowanego mężczyzny, z obszerną, podłużną, siwą już brodą i kształtną głową przypominał oblicze biblijnego Abrahama, Dawida i króla Salomona. Podobny szacunek okazywali mu i przedniejsi gospodarze na wsi i mawiali z uszanowaniem: „dzień dobry Panu, Panie Słoma...” Nikt go nie przezywał, nigdy też dzieciarnia, rozpuszczona bezkarnie, nie ważyła się rzucić kamieniem bądź inaczej uwłaczyć jego godności. W każdym ówczesnym urzędzie, a także na plebanii u proboszczów miewał on poczesne miejsce do siedzenia. Mówił mało, ale każde słowo było wyważone.

Przypominam sobie zdarzenie w urzędzie pocztowym z 1925 r. Stał on przy okienku, czekając na załatwienie sprawy i paląc cygaro, którego dym wchodził

do biura urzędującej tam starszej dewotki, zwanej „Czupiradło”. I tak ta zraniona sarna zaskrzeczała: „parszywy cybuch przyszedł mnie tu dymem zasmrodzić!” Na co ten poważny starzec odpowiedział: „bardzo przepraszam, że nie zauważyłem, że przepiękna pani ma taki długi nos”. Narobiło to owacyjnej uciechy, bo urzędniczkę szpecił ten za długi nos.

Bywał on za czasów swej świetności „za cesarza” i także po I wojnie światowej obierany na członka Rady Gminnej. Rada liczyła 30 członków z wyboru, a później 40, w tym 2–3 członków wyznania mojżeszowego; głos ówczesnych radnych, jak mówią strzępy starych protokołów, bardzo się liczył.

W międzywojennym okresie, kiedy dzieci z pierwszego małżeństwa opuściły dom rodzinny, świetne i długo kwitnące gospodarstwo z braku sił do pracy nie dawało już korzystnego dochodu. Więc większa część ziemi została wydzierżawiona małorolnym mieszkańcom wsi. Zaś właściciel założył przedsiębiorstwo wyrobu dachówki cementowej i elementów betonowych, zatrudniając w tym zawodzie najemnych robotników. Dla dobra pracy zarobkowej, pod baczным okiem starca, wykonywali ją oni sumiennie.

W stanie chylącej się już starości zastała go II wojna światowa. Po doznawanych często przykrościach od policyjnych siepaczy w 1942 r. podzielił los tragicznej zagłady 99% żydowskiej ludności. Jego wspianała ziemia przeszła do Państwowego Funduszu Ziemi. Niektórzy jego synowie i córki żyją w USA lub innych krajach demokracji zachodnich.

BORUCH STECHEL. Znany mi, bogaty Żyd, nie wiem kiedy i skąd przyszedł do naszej wsi. Na 16-morgowym gospodarstwie, zakupionym w XIX w. od Niemca, gospodarzył dobrze i władnie. Chociaż nie był on tak sympatyczny jak Salomon Schek, to jednak miał on duże zaufanie u społeczności. Jak mówią stare, stuletnie strzępy protokołów Rady Gminnej, był członkiem Rady każdej prawie kadencji. I chociaż był to starzec, który zmarł po I wojnie światowej, owe protokoły mówią, jak bywał hałaśliwie czynnym obrońcą swoich wyborców i biedoty wiejskiej.

Z postępem utrzymywał i prowadził gospodarstwo rolne, oparte na ciężkiej pracy zdyscyplinowanych córek. Zaś jego zawsze piękna i cnotliwa żona prowadziła sklep towarów mieszanych, co dodatkowo wzbogaca pamięć o jego pożytecznej wartości dla otoczenia, nie tylko ludności żydowskiej, ale dla wszystkich mieszkańców Kamienia.

LESSER SZUSSHEIM, zwany „Lejzor”, to inny Żyd, którego dobrze zapamiętałem. Z głowy, figury i zarostu wspianą twarzą oraz wysokiej kondycji znamionował on biblijnego Mojżesza. Był on również przodującym rolnikiem, a gospodarstwo prowadził wraz z bardzo zadbaną, piękną żoną, Esterą, zwaną powszechnie „Isterką”. Prócz gospodarstwa prowadziła ona także sklep bławatny, to jest tekstylny. Sklep obfitował w towary i z tego to powodu kobiety i dziewczęta darzyły piękną Isterkę pełnią szacunku i zaufania. Zaufanie musiało być

wzajemne, gdyż z powodu pogłębiającego się kryzysu za czasów pomajowej hunty pułkownika Sławka kobiety nabywały wiele towarów na kredyt, które nie zawsze mogły spłacić. Lista dłużników szybko się wydłużała, a wybuch II wojny światowej przekreślił możliwość zrealizowania tej listy długów.

Rodzina Szussheimów z uprzejmą Isterką niedługo mogła egzystować w ukryciu. Mąż Lesser powodowany znajomością przeznaczenia, poznanego ze świętej księgi Talmudu, poszedł śladami ogółu współwyznawców do getta w Sokołowie.

MAJER ORENSTEJN ożeniony z Julią Pestą z Rudnika nad Sanem przez wieledziesiąt lat prowadzili sklep towarów mieszanych i piekarnię, z której pieczywem zaopatrywano 10-tysięczną gminę zbiorową. W latach kryzysu przedwojennego zaopatrywali wielu uboższych nabywców w towary codziennego użytku na kredyt. Stąd ta rodzina mile jest widziana do teraz. Ów Majer Orenstejn to jeszcze „za cysarza” uciekł z Kongresówki. Był on również obeznany z świętą księgą Talmudu. Mając wspaniały głos tenorowy, w każdoroczną uroczystość żydowską zachwycał swym aktorskim, wspaniałym śpiewem.

Miał on gromadkę dzieci, które wychowywał w dyscyplinie rytualnej obyczajowości. Synowie do pełnoletności nosili pejsy. Tylko jedna z córek, przepiękna Lipka, pałała pasją do czytania polskiej literatury pięknej, kształcąc w sobie czystość mowy polskiej; w ukryciu spożywała kiełbasę.

Rodzina ta, jak i wiele innych, solidarnie opuściła Kamień i wyniosła się do getta w Sokołowie bez chęci ocalenia. Bo ów świątobliwy piekarz wierzył, że przeznaczenie zagłady jest nie do omińnięcia.

BERN KORN, stary, ubogi talmudysta, mieszkał ze swoją leciwą żoną Sarą w schludnie skleconym domku przy szosie nad rowem. Ona prowadziła ubogi sklepik towarów „korzennych”, on uprawiał nieduży kawałek pola, z którego uzupełniał środki powszedniego utrzymania. Mieli oni syna, którego brat mój, jako akademik, przygotowywał do wstępnego egzaminu na jakąś uczelnię w latach 1922–1924. Nie pamiętam jednak, jak zakończyły się ich losy.

DAWID GEIGER, mieszkaniec bezrolny, bardzo szlachetny i kulturalny Izraelita, zwany „Dawidkiem”, był ożeniony z piękną córką Amsterdama. Zbudowali oni sobie przed wojną piękny domek nad rowem przy szosie. Prowadzili sklep bławatny i jakoś wiązali koniec z końcem, razem z miłą żoną, Henią. Aczkolwiek rodzina ta była spokojna, przyjemna i powszechnie szanowana, to jednak znaleźli się osobnicy chuligańskiego nawyku, powodowni endeckimi hasłami: „Bij Żyda”. Pod osłoną nocy tłukli oni domek kamieniami, dziurawili dach i okna. Kamień przetrzącił wtedy Geigerowi nogę, a tenże – tak okaleczony – cierpliwie znosił terroryzowanie, bez szukania u władz ochrony i pociągnięcia sprawców do odpowiedzialności karnej. Żył w pokorze, modląc się; doczekał tych najtragiczniejszych okresów września 1939 r., cierpiąc ciągle powtarzające się

prześladowania policji, wymuszającej kontrybucyjne haracze okupu. Nie chcąc przeżywać dalszej katorgi w getcie, miał podobno popełnić samobójstwo. Żona z pozostałą rodziną podążyła do getta bez szukania ocalenia.

„CZARNY ICEK”, którego prawdziwego nazwiska już nikt, nawet najbliższy sąsiad nie znał, był jeszcze jednym ze znanych mi osobiście Żydów godnych upamiętnienia. Ubogi, ale bardzo uczciwy, miły, serdeczny Żyd, o świątobliwej postawie i usłużnym zachowaniu. Trudnił się on pokątnie handlem cieląt i drobiu, a żona szyła w skleconej ubogo chałupinie fatałaszkę dla kobiet i dzieci. Cała rodzina, tej wielodzietnej biedoty dzięki życzliwości sąsiadów miała umożliwioną skromną egzystencję. Czarny Icek chętnie wynajmował się do pracy w polu, przy sianie i zbożu oraz przy omłotach i wykopkach. Był bardzo lubiany, zawsze uśmiechnięty i dla każdego życzliwie ustosunkowany; szanowali go i Polacy, i Żydzi. Toteż długo przechowywał się i ukrywał wśród sąsiadów i znajomych mieszkańców, czerpiąc skromne środki żywności dla wywiezionej do getta żony i dzieci. Starsza jego córka, o przepięknej urodzie, również się ukrywała, szyjąc po zaufanych domach na maszynie bądź też przerabiając odzież. Znalazła też ona schronienie i w mojej rodzinie, szyjąc dla dzieci ubranka. I ją mógłbym uratować przez dostarczenie odpowiednich dokumentów osobistych. Stało się jednak inaczej. Zawsze spodziewany nieszczęśliwy przypadek sprawił złapanie jej ojca przez siepaczy i osadzenie go w getcie na rychłe zatracenie. Więź rodzinna przemogła tę kochającą, świątłą córkę i spowodowała decyzję dołączenia do getta, by dzielić losy zagłady z całą rodziną.

W pamięci seniorów wsi Kamień zachowały się przyjazne wspomnienia o Żydach, którzy stanowili ruchliwą część społeczności wiejskiej. Do teraz odczuwamy brak wielu z tych ludzi, których cechowała życzliwa czynność i z którymi wiązała nas przyjaźń pewnego stopnia.

Jestem już bardzo stary i pamięć się zatracca, dlatego nie mogę szerzej opisać dziejów tych mieszkańców, ich doli i niedoli. Jakże trudne i przejmujące jest odgrzebywanie tamtych tragicznych czasów mordów i grabieży. W moim przewrażliwieniu wywołuje to smutne i przykre wzruszenie.

Bo jakże bym dzisiaj pragnął spotkać i uścisnąć serdecznie tamtych, w proch już przemienionych przyjaciół i znajomych mieszkańców wsi naszej – Żydów!

JUDEN AUS KAMIEN BEI RUDNIK. EINE HANDVOLL
ERINNERUNGEN ÜBER LEBEN UND SHOAH

Zusammenfassung

Der Verf. dieser Erinnerungen war Einwohner des Dorfes Kamień bei Rudnik in der Region Rzeszów. Er stammte aus einer kulturinteressierten Bauernfamilie, wovon die Hochschulausbildung

eines Teiles seiner Geschwister zeugt. Er selbst war Gemeinangestellter und deshalb kannte er die Angelegenheiten des Dorfes sowie das Schicksal seiner Einwohner. In dem veröffentlichten Ausschnitt der Erinnerungen ist vorwiegend über die jüdischen Einwohner Kamiens die Rede, ihre ökonomische und soziale Stellung sowie ihr Miteinanderleben mit der polnischen Bevölkerung. Dieses Miteinanderleben gestaltete sich bis zum Ausbruch des II. Weltkrieges im Allgemeinen gut, manchmal auch auf Grundlage einer nachbarlichen Vertraulichkeit. Der Verf. beschreibt verschiedene Situationen, die sich entweder im Rahmen der jüdischen Gemeinschaft oder auf der Ebene der jüdisch-polnischen Beziehungen ereignet haben. Der Erzählgang ist lebendig, mit folkloristischen Elementen wie Lieder oder Sprichwörter, Kosenamen, die den ansehnlichen und bedeutenden Juden beigegeben worden sind, gesättigt. Der Bericht hat somit viele Schichten, die eine Erkenntnis der verlorengegangenen Gemeinschaft ermöglichen. Er zeigt Geschichte jüdischer Familien, die bedeutenden Einzelnen unter ihnen, wobei der Verf. mit Vorliebe Frauengestalten porträtiert. Daneben hat man mit vielen Wertungen, die eine radikal-volkstümliche Einstellung vertragen. Das bedeutende Motiv ist die Geschichte der eigenen Familie, die enge Kontakte mit den jüdischen Nachbarn pflegte. Das auf diese Weise skizzierte Gruppenbild der Kamiener Juden läßt die Unausweichlichkeit ihres Schicksals zur Zeit des Krieges erkennen. Aus dem Bericht geht hervor, daß die größten Rettungschancen jene hatten, die enge Kontakte mit den Polen unterhielten. Der Verf. unterstreicht stark die fatalistische Einstellung mancher Juden, was von vornherein ihre Rettung ausschloß. Er informiert auch über die wenigen Fälle der Zusammenarbeit der polnischen Bevölkerung mit den deutschen Besatzern, vor allem im Rahmen der sog. Dunkelblauen Polizei sowie der sog. Nachtwache. Es wurde nur eine Denunziation vermerkt, dazu noch vonseiten eines Dorffremden. Über die Einstellung der Dorfbewohner zeugt die Tatsache, das viele beinahe offen ihre jüdischen Nachbarn versteckt haben, ohne eine Denunziation befürchten zu müssen.

Übersetzt von Wojciech Kunicki